NATHANIEL HAWTHORNE

POTRÓJNE PRZEZNACZENIE

(The Threefold Destiny)
[1875]

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

2026

W samym środku lata, wysoka, ciemna postać, nad którą długie wędrówki do odległych krajów spowiły aurę przybysza z obcych stron, pojawiła się w wiosce, nie w jakimś "bajecznym kraju", ale tu, w naszej okolicy. Laska, na której opierał się wędrowiec towarzyszyła mu od miejsca, gdzie wyrosła, w dżunglach Hindustanu; nakrycie głowy, które skrywało w cieniu jego smętne brwi, chroniło jego skronie w słońcu Hiszpanii, ale policzki były spalone rozgrzanym do czerwoności słońcem pustynnej Arabii, a zakosztował też lodowatej bryzy regionów Arktyki. Przeżył długi czas między dzikimi i niebezpiecznymi ludźmi, ciągle trzymał pod połą swojego płaszcza *athagan*, którym raz ugodził w kark tureckiego rabusia. W każdym odległym kraju stracił nieco ze swojego charakteru mieszkańca Nowej Anglii i być może od różnych obcych ludzi zapożyczył pewne charakterystyczne cechy, tak że gdy znowu pojawił się na ulicach swojej rodzinnej wioski, nic dziwnego, że szedł początkowo nierozpoznany, chociaż wzbudzał wiele zainteresowania wśród mieszkańców. Ale gdy niechcący potrącił ramieniem jakąś młodą kobietę, ta drgnęła rzucając mu przelotne spojrzenie, a po chwili wykrzyknęła zaskoczona:

– Ralph Cranfield! – imię ledwo przeszło jej przez gardło.

"Czy to możliwe, że to moja dawna towarzyszka zabaw, Faith Egerton?" – przemknęło mu przez myśl, gdy przyglądał się kobiecie, ale nie zatrzymał się.

Ralph Cranfield, od najmłodszych lat wierzył, że jest przed nim specjalne, wysokie przeznaczenie. Wmówił w siebie pewną myśl – my nie wiemy, czy stało się to za sprawą jakiegoś uroku, albo na drodze sennych marzeń, ale jego głębokie przekonanie zdominowało jego umysł i ugruntowało się w jego głębokim przeświadczeniu jak wróżba Sybilli, – i nie było sposobu, żeby mógł się swojej *idee fix* zaprzeć. Idei, według której trzy najważniejsze wydarzenia w jego życiu mają objawić mu się na drodze trzech cudownych znaków.

Pierwszy z tych omenów, i być może ten najważniejszy dla młodej wyobraźni, było spotkanie dziewczyny, która jako jedyna na świecie, będzie w stanie obdarzyć go swoją miłością. Jego przepowiednia mówiła, że w czasie długiej wędrówki do odległych krańców świata, spotka on dziewczynę, która będzie nosić na piersi klejnot w kształcie serca, czy to perłowy, czy szmaragd, czy karbunkuł, albo nawet bezcenny diament, Ralph Cranfield zupełnie o to nie dbał, bo klejnot musiał być tego szczególnego kształtu, kształtu serca. A gdy spotka tę dziewczynę, mówiła wróżba, musi zadać jej następujące pytanie: "Dziewczyno, przynoszę ci ciężkie serce. Czy mogę złożyć je u twoich stóp?" I jeśli to miała być ta dziewczyna, jeśli ich podobne dusze były rzeczywiście przeznaczone dzielić wspólne życie, na dobre i na złe - to powinna ona odpowiedzieć, wskazując na kamienne serce na jej piersi, "Ten znak, który noszę od tak dawna, jest gwarancją, że możesz."

Druga wróżba mówiła o ogromnej fortunie, w którą Ralph Cranfield mocno wierzył, ukrytej gdzieś w ziemi, a której położenie miał poznać tylko on. W momencie, gdy jego stopy staną na wyznaczonym terenie, pojawi się przed nim dłoń wskazująca na miejsce spoczywania skarbu - czy miała by to być dłoń wyrzeźbiona w marmurze, albo fragment górskiego urwiska w kształcie gigantycznej dłoni, albo może płomień, w którym będzie mógł dopatrzyć się wskazującej dłoni - nie potrafił powiedzieć, ale wiedział, że musi być dłoń i palec wskazujący punkt na ziemi, miejsce, gdzie znajdzie napis w łacińskim języku EFFODE, - Kop! A gdy będzie kopał w tym miejscu, znajdzie tam, co, tego nie wiedział, czy złote monety, czy sztabki, czy szlachetne kamienie, czy cokolwiek jeszcze, nie ważne, pewne było tylko to, że będzie to skarb, który wynagrodzi mu wszystkie znoje.

Trzecim i ostatnim z cudownych zdarzeń w życiu tego wybranego do wielkich rzeczy człowieka, było zdobycie rozległej władzy i zwierzchnictwa nad innymi ludźmi. Czy miał zostać

królem, założycielem dziedzicznej dynastii, czy też zwycięskim wodzem bojowników o wolność, czy też apostołem czystej i odrodzonej religii, pozostawało kwestią, którą przyszłość miała wyjaśnić. Jako zwiastuny spełnienia tego zdarzenia, po których Ralph Cranfield miał rozpoznać swoje powołanie, była obecność trzech szacownych mężczyzn proszących go o audiencję. Główny pośród nich, starszy i majestatyczny człowiek, ubrany w dostojne szaty dawnych mędrców, miał być w posiadaniu różdżki, albo laski proroka. Tą różdżką, czy też laską, miałby nakreślić pewne znaki w powietrzu a następnie ogłosić wiadomość-instrukcję z samego Nieba, po zastosowaniu której wspaniała przepowiednia miała się spełnić.

Z tą dumną wiarą przed oczyma, w przebłysku młodzieńczej wyobraźni, Ralph Cranfield wyruszył w świat na poszukiwanie swojej dziewczyny, skarbu i szacownego mędrca z jego obietnicą wielkiego imperium. I czy znalazł je? Niestety! Gdy przechodził przez wieś, kierując się do starego domu swojej matki, to miał on raczej wygląd przygnębionego człowieka, który zbyt długo zmagał się z niekończącymi się przeciwnościami losu, aniżeli postać zdobywcy, który osiągnął znacznie więcej niż jego pobratymcy. Wrócił tutaj, ale jak przypuszczał, tylko na chwilę, odłożyć swój kij pielgrzyma, aby odpocząć, odzyskać siły i fantazję młodego człowieka w miejscu, gdzie potrójna przepowiednia objawiła mu się wiele lat wcześniej. We wsi znalazł niewiele zmian, bo nie było to jedno z tych kwitnących miejsc, gdzie jeden dostatni rok czyni progres nieosiągalny w czasie stuletniej dekadencji, ale raczej mała miejscowość nadgryziona zębem czasu, pełna starszych kobiet, wiekowych wiązów, domostw gęsto porośniętych mchem, tak jak siwy kolor przeplatał gęsto włosy tego, który żył tutaj za młodu. Faktycznie, niewiele się od tego czasu zmieniło. Zwieszające się gałęzie starych wiązów, nadawały drzewom nieco majestatycznego wyglądu, doświadczane warunkami atmosferycznymi domostwa były dużo bardziej owinięte porasta-

jącą je roślinnością, i bez wątpienia było też więcej kamiennych pomników na miejscowym cmentarzu, z imionami niegdyś znanymi w całej okolicy. A jednak, podsumowując wszystkie rany zadane przez dziesięć minionych lat, stan wioski zdawał się niewiele różnić od tego, gdy pewnego poranka, Ralph Cranfield, śniąc swoje marzenia, wyruszył aby teraz znaleźć się z powrotem w tym samym miejscu. Ale teraz jego serce było chłodniejsze, widział bowiem, że wieś nie pamiętała go tak dobrze, jak on pamiętał wieś.

"Tutaj jest zmiana!" westchnął klepiąc dłonią swoją pierś. "Kim jest ten człowiek, który się tym przejmuje, sterany latami wędrówek po świecie, dźwigający te wszystkie zawiedzione nadzieje? Nie młodzieniec powraca, nie młodzieniec, który przed laty wyruszał stąd z taką radością!"

Ralph Cranfield dotarł do domostwa swojej matki, zatrzymał się przy bramie, przed małą chałupą, gdzie starsza kobieta, w czasie długiej nieobecności jej syna, potrafiła nie najgorzej o siebie zadbać. Wszedł na podwórze i oparł się o konar starego drzewa, zdziwiony własną niecierpliwością, jak to zwykle bywa u ludzi, którzy próbują podsumować wiele lat w jednej, krótkiej chwili. Przez chwilę przyglądał się domostwu, oknom rozjaśnionym blaskiem nieba, drzwiom i schodom z kawałka kamienia milowego i wąskiej ścieżce wydeptanej od ganku do bramy wejściowej na podwórze. Odnowił swoją dawną znajomość ze starym drzewem, o które się opierał, rzucając z uśmiechem spojrzenie na jego pień. Gdy nagle dostrzegł coś, co wprawiło go w bardziej ożywiony stan i przywołało melancholijny uśmiech na jego twarz. Znalazł tam starą - ledwo już czytelną inskrypcję, łacińskie słowo EFFODE, które pamiętał wyciął w korze własnoręcznie, całodniowym wysiłkiem, wtedy, gdy po raz pierwszy zaświtała mu w głowie myśl o jego wspaniałym przeznaczeniu. Zauważył, że dziwnym zbiegiem okoliczności, fragmenty starej rozpękającej się kory ponad napisem, układały się tak jakby w

kształt dłoni z wyciągniętym wskazującym palcem, który wskazywał na łacińską inskrypcję. Tak to w każdym bądź razie wyglądało w tym popołudniowym słońcu.

"Teraz ktoś łatwowierny," pomyślał mimowolnie Ralph Cranfield, "mógłby przypuszczać, że to tutaj ukryty jest skarb, którego szukałem po całym świecie, zakopany tu, niemal u wejścia do domu mojej matki. To byłby rzeczywiście dobry żart!"

Więcej o tym nie myślał, bo nagle drzwi domu otworzyły się i podstarzała kobieta pojawiła się na progu, wpatrując się w zapadający zmrok, aby dostrzec, kto o tej porze mógł zawitać na jej posesję i skrywa się teraz w cieniu jej drzewa. To była matka Ralpha Cranfielda. Nie będziemy się zatrzymywać na ich powitaniu, pozostawimy ją w jej radości a jego w spokoju, który - jak miał nadzieję - znalazł.

Ale gdy nadszedł ranek, obudził się w złym humorze, bo jego sen i przebudzenie było pełne mar. Cała pasja, która rozpalała go w przeszłości, pasja jego potrójnego przeznaczenia, rozbudziła się na nowo. Wszystkie jego niespełnione nadzieje zdawały się czekać na niego pod dachem matczynego domu i osaczyły go ze wszystkich stron, ciesząc się na jego powrót. W pokoju, który tak dobrze pamiętał, na poduszce, gdzie kładł swoją młodzieńczą głowę, przeżył bardziej dziką noc niż kiedykolwiek w arabskich namiotach, albo gdy spędzał noce w nawiedzanych lasach. Cień jego dziewczyny wkradł się do jego łóżka i przyłożył palec na jego rozgorączkowanym sercu, płomienna dłoń gorzała w ciemnościach, wskazując na tajemnicze miejsce w ziemi, wiekowy mędrzec kołysał swoją proroczą laską i obiecywał wspaniałą karierę. Te same zjawy, choć nie tak wyraziste za dnia, kręciły się po chacie i mieszały z twarzami tych, których wiadomość o powrocie Ralpha Cranfielda sprowadziła do tego domu. Aby powitać go ze względu na szacunek do jego matki. Znaleźli go tam, wysokiego, opalonego, majestatycznego, z aurą cudzoziemskości, uprzejmego i o łagodnej wymowie, ale z rozkojarzonym wzrokiem, który często zdawał się postrzegać niewidzialne.

Tymczasem samotna matka kręciła się po chacie, szczęśliwa, że znowu ma kogoś, kogo może kochać i o kogo może się zatroszczyć, przed kim może wylewać swoje maleńkie codzienne żale. Było blisko południa, gdy zauważyła na ulicy, w gorącym słońcu i poza cieniem rzucanym przez stary wiąz, trzy dystyngowane osoby. Po krótkiej chwili trzej mężczyźni dotarli od bramy i skierowali w stronę wejściowych drzwi.

– Popatrz, Ralph! – wykrzyknęła, z matczyną dumą, – to dostojny pan Hawkwood i dwie inne ważne osobistości. Przyszli, żeby się z tobą spotkać. Opowiedz im swoją historię, co widziałeś w odległych krajach.

Pierwszy z trzech przybyłych, Dziedzic Hawkwood, był bardzo oficjalny, ale doskonały gentleman, przewodził we wszystkich sprawach w wiosce i uznawany był za jednego z najmądrzejszych ludzi na świecie. Na głowie miał nieco już archaiczny trójgraniasty kapelusz, a w ręku trzymał oprawioną w srebro laskę, która raczej służyła mu bardziej za ozdobę aniżeli instrument wspomagający jego krok. Dwóch pozostałych to szacowni miejscowi gospodarze, którzy, mając wciąż w poważaniu przedrewolucyjny porządek i szacunek do społecznej pozycji i dziedzicznego majątku, pozostawali nieco w tyle za dziedzicem. Gdy cała trójka zbliżała się po ścieżce, Ralph Cranfield usiadł w dębowym krześle z podłokietnikami, na pół-przytomnie przyglądając się trzem gościom, wiążąc ich wizytę ze swoimi wyimaginowanymi proroctwami.

“Oto,” myślał uśmiechając się na swą myśl, “nadchodzą trzej magowie, a pierwszy z nich to szacowny mędrzec z laską. Czyżby ci posłańcy przynieśli mi wiadomość o moim przeznaczeniu?”

Gdy Dziedzic Hawkwood i jego towarzysze weszli do domu, Ralph wstał z krzesła i ruszył aby ich powitać, a jego wysoka postać i opalona cera, gdy pochylał się uprzejmie przed swoimi gośćmi, dodawały mu naturalnej dostojności, kontrastującej ze sztucznie narzucającą się powagą Dziedzica. Starszy gentleman,

zgodnie z niezmiennym zwyczajem, wygłosił wstępną przemowę zatrudniając przy tym swoją oprawioną w srebro laskę, następnie zdjął trójgraniasty kapelusz aby otrzeć pot z czoła i wreszcie przystąpił do sedna rzeczy.

– Moi koledzy i ja osobiście, – zaczął Dziedzic, – jesteśmy bardzo obciążeni obowiązkami, jako wybrani radcy naszej miejscowości. Od trzech pracowitych dni nasze myśli poświęcone były potrzebie znalezienia odpowiedniej osoby, która mogłaby zająć ważne stanowisko, które tej osobie daje pozycję, w naszej wiosce, i prerogatywy, porównywalne z absolutną władzą króla. A ponieważ ty, nasz rodowity obywatel, cieszysz się opinią człowieka o trzeźwym umyśle, doskonale obeznanego ze sprawami tego świata, za sprawą swoich podróży (te marzenia i fantazje z czasów młodości traktujemy jako przebrzmiałe), więc, biorąc to wszystko pod uwagę, jak powiedziałem, po długim zastanowieniu, nabraliśmy pełnego przekonania, że Opatrzność zesłała cię do nas, w ten trudny czas, aby dopomóc nam w ważnych obowiązkach obejmując bardzo odpowiedzialne stanowisko.

Podczas tej przemowy Cranfield patrzył niewzruszenia na mówiącego jak gdyby dostrzegał coś tajemniczego i nieziemskiego w jego napuszonej postawie i jak gdyby Dziedzic miał na sobie szaty dawnego mędrca, zamiast z gruba skrojonego kaftana, koszuli z dużym kołnierzem, bryczesów i jedwabnych pończoch. Miał sporo powodów, żeby się dziwić temu przedstawieniu, bo figury, jakie Dziedzic wywijał w powietrzu swoją laską, były w oczach Cranfielda odwzorowaniem znaków z przepowiedni, znaków, których szukał na całym świecie.

– A co, – zapytał Ralph Cranfield drżącym głosem, – co to dokładnie za stanowisko, które miałoby zrównać mnie z królami i władcami?

– To stanowisko nauczyciela w naszej wiejskiej szkole, – odpowiedział Dziedzic Hawkwood, – które to stanowisko opróżniło się po śmierci naszego szacownego pana Whitaker, po pięćdziesięciu latach pracy.

– Rozważę waszą propozycję, – odparł Ralph Cranfield pośpiesznie, – i dam wam moją odpowiedź w ciągu trzech dni.

Po dalszej, krótkiej rozmowie, wiejski dostojnik i jego kompani opuścili dom. Ale w wyobraźni Cranfielda ich postacie pozostały, a sam nie mógł pozbyć się wrażenia dziwaczności całego zdarzenia i jak bardzo postacie trzech radnych różniły się od jego wyimaginowanych mędrców, gdy stali tu, w tej wiejskiej chacie, otoczeni zwykłymi, codziennymi rzeczami. Jego uwaga zatrzymała się na postaci Dziedzica, która zaczęła mu się mieszać z postacią mędrca z jego fantazji, wspominał twarz pewnego starca, patrzącego na niego pod piramidą Cheopsa i teraz jego twarz była twarzą Dziedzica, wspominał mędrca kiwającego do niego głową pośród kolumnady w Alhambrze i to również była teraz twarz Dziedzica, ta sama twarz pojawiła się przy Wielkim Gejzerze. Przy każdym wysiłku pamięci rozpoznawał w swoim wyimaginowanym mędrcu, jakiś element tej pompatycznej, ważnej i małej-wielkiej postaci wybitnego obywatela wioski. Pośród takich rozważań, Ralph Cranfield pozostał cały dzień w domu, ledwo słysząc i ledwo odpowiadając na wszystkie pytania o jego podróżach i przygodach, jakimi zasypywała go matka. O zachodzie słońca, wyruszył na przechadzkę i, mijając stary wiąz, jego wzrok ponownie napotkał fragment kory w kształcie dłoni wskazującej ledwo już czytelną inskrypcję.

Gdy Cranfield szedł przez wioskę, jego cień kładł się daleko przed nim, bo słońce było jeszcze nisko na niebie i myślał sobie, że tak jak ten cień, przesuwający się przed nim, tak w jego życiu jakieś złe widmo, dokądkolwiek skierował swoje kroki, kroczyło przed nim. A gdy jego cień kładł się na mijanych miejscach, wszystkie one budziły w nim wspomnienia z jego młodzieńczych lat. Każda rozpadlina w ubitej ziemi była mu dobrze znana. Nawet te bardziej ulotne i przemijające cechy krajobrazu wydawały mu się bardzo dobrze znane. Stado krów pasło się nieopodal na łące i nawet ten widok odświeżył jego wspomnienia. “Zapach wy-

daje się bardziej przyjemny," myślał, "niż zapach perfum, które ładowaliśmy na statek w Spice Islands." Małe dziecko przebiegając ze śmiechem obok niego nagle upadło na ziemię tuż przed stopami Ralpha Cranfielda. Majestatyczny i opalony mężczyzna pochylił się i podniósł dziecko oddając je w ręce matki. "Dzieci," powiedział sam do siebie, - westchnął i uśmiechnął się, - "dziećmi mam się teraz zajmować, jako nauczyciel!" I gdy ta refleksja zaświtała w jego głowie, znalazł się nagle przed domem, do którego potrzebował wejść, pomimo nieśmiałości, jaką odczuwał. Przyjemny głos, który zdawał się wydobywać z głębokiej i czułej duszy, wyśpiewywał jakąś prostą melodię wewnątrz.

Pochylił głowę i przekroczył niski próg. Gdy jego kroki rozbrzmiały na podłodze, młoda kobieta pojawiła się w zakurzonym wnętrzu domu, najpierw pośpiesznie, potem zwolniwszy kroku, niepewnie, zbliżyła się aż spotkali się twarzą w twarz. Był uderzający kontrast w ich wyglądzie; on opalony i robiący wrażenie - ktoś, kto zmagał się z tym światem, na kogo świeciło słońce pod różnymi szerokościami, kogo owiewały cztery wiatry - ona zadbana, miła i cicha - spokojna pomimo podekscytowania, jak gdyby wszelkie jej emocje wyciszyło monotonne życie, jakie wiodła. Ale ich twarze, zupełnie różne, miały podobny wyraz, nie tak sobie obcy, promień niewygasłych uczuć prześwitywał na nowo z wciąż tlącego się żaru.

– Witaj w domu! – powiedziała Faith Egerton.

Ale Cranfield nie odpowiedział od razu, bo jego oczy pochwyciły widok pewnej ozdoby w kształcie serca. To był zwykły biały krzemień i przypomniał sobie, że to on sam nadał mu ten kształt, obrabiając jeden z tych grotów indiańskich strzał. A kształt ten był dokładnie taki, jak ten, który jawił mu się w jego marzeniach o wybranej dla niego dziewczynie. Gdy Cranfield wyruszał na swoje wędrówki, podarował ten kamień Faith Egerton, oprawiony w złocone ramki, jako pożegnalny prezent.

– A więc, Faith, wciąż masz ten naszyjnik! – powiedział w końcu.

– Tak, – odpowiedziała mocno się rumieniąc, a potem dodała bardziej wesoło, – a co przywiozłeś mi z zamorskich podróży?

– Faith, – odparł Ralph Cranfield, wypowiadając słowa ze swojego proroctwa w sposób, którego nie był w stanie kontrolować, – przywiozłem ci tylko ciężkie serce, czy mogę złożyć je u twoich stóp?

– Ten naszyjnik, który noszę od tak dawna, – odparła Faith kładąc palec na krzemiennym sercu, – jest najlepszym dowodem, że możesz.

– Faith! Faith! – wykrzyknął Cranfield ściskając ją w ramionach, – pomogłaś mi wreszcie zrozumieć moje sny!

I tak ostatecznie przebudził się ten niepoprawny marzyciel. Znalazł tajemniczy skarb, którym okazała się ziemia wokół domu jego matki i wszystko, co może zrodzić. Zamiast wojskowych rozkazów, albo królewskiego berła czy religijnych orędzi, miał przejąć władzę nad dziećmi z wioski. A teraz, dziewczyna z jego snów zniknęła za sprawą towarzyski zabaw z młodych lat. Niechby wszyscy, których prześladują dzikie marzenia rozejrzeli się dobrze dookoła, to pewnie większość znalazłaby swoje sny w najbliższej okolicy, na swojej posesji. Szczęśliwi, którzy potrafią rozwiązać tę zagadkę bez zbyt głębokich poszukiwań i życiu spędzonym na próżnym trudzie.

KONIEC